

# Są jednak diamenty w popiele

**Bogdan Sobieszek: - W związku z pańską retrospektywą podczas festiwalu Transatlantyk w Łodzi chciałbym namówić pana na coś w rodzaju reżyserskiego wprowadzenia do pańskiej twórczości. W przyszłym roku minie 40 lat od pełnometrażowego debiutu fabularnego („Wolne chwile”).**

Andrzej Barański: - Te 40 lat jest w ciekawej klamrze: otwierają je i zamykają dwa filmy, które nie zostały przyjęte na Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. „Wolnych chwil” nie pokazano... właściwie nigdy nie zaistniały. Szkoda mi tego filmu - „poważnej komedii”, jak trafnie nazwał go odtwórca głównej roli Krzysztof Majchrzak. W wypadku „Księstwa” determinacja komisji musiała być wielka, jeśli nie dopuściła do festiwalu filmu, który już wcześniej zaproszono do konkursu głów-nego w Karlovych Varach - nawet względy grzecznościowe nie zdołały złagodzić boskiego gniewu selekcjonerów gdyńskich. No, ale w ten sposób mam piękną klamrę - męczeńską. Przed „Wolnymi chwilami” nakręciłem film telewizyjny „W domu”, bardzo ważny dla mnie. Od niego wszystko się zaczęło, czyli filmy dziejące się w małych miasteczkach i opowiadające o ich mieszkańcach.

**Realizuje pan dokumenty, animacje, filmy fabularne. Co decyduje o wyborze formy - temat, bu-dżet, inne okoliczności?**

- Na ogół forma przychodzi razem z tematem. Bywa że pojawia się dylemat: film aktorski czy ani-mowany. Tu zawsze coś się zyskuje, coś traci. Wybierając animację, dostajemy oryginalny obraz, ale nie mamy twarzy aktorów, a to jest wielka strata. Kiedy jednocześnie pokazywałem mój film fabu-larny i kilka filmów krótkich, bywali się widzowie, którzy wyrażali żal, że w długich filmach nie ma mnie tego z krótkich. Fabuła powinna być jednorodna, taka sama na końcu, jak była na początku. Wszelkie przełamania raczej się nie opłacają. Jeśli coś takiego widzę w filmie fabularnym, myślę że autor skapitulował, wprowadził zmianę, bo już nie był w stanie doprowadzić filmu do końca. Nawet filmy takiego arcy-mistrza jak Godard, w których przesadził w łączeniu różnych form, nie wytrzymały próby czasu, nie ma ich - jest kupa gruzów. Natomiast w krótkim metrażu zmienność formy ożywia film i wzmacnia wymowę. Film krótki jest do figlowania, zachęca do poszukiwań, eksperymentów. Ale wtedy trudno go zaklasyfikować. Mam w dorobku kilka ewidentnych dokumentów, w których używałem też animacji, i teraz figurują jako filmy animowane.

**Krytycy często podkreślają osobność pańskiego kina. Co pan o tym myśli? Co dla pana jest najważ-niejsze w tym, co pan robi?**

- Kiedy skończyłem Szkołę Filmową w Łodzi, już wiedziałem, jakie filmy chcę tworzyć: pochodzę z małego miasteczka i to będzie mój temat. Było trochę tak, jakbym postanowił zostać księdzem. Miasteczko to przecież spore ograniczenie, ale jak się w nie wierzy, dostrzega się, że jednak są dia-menty w popiele. Czułem też konieczność opowiedzenia o tym świecie, o jego ludziach. Zwłaszcza, że był to świat już ginący. Dzisiejsza mała miejscowość jest mało podobna do mojego miasteczka z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. Dlatego, realizując filmy, musiałem wykazać się szczególną dbałością o jego obraz, o przedstawienie strony materialnej bytowania mieszkańców. Zwracałem też uwagę, żeby do realiów małej miejscowości nie sprowadzać tematyki filmów wielkomijskich. Z tego powodu ograniczałem akcję. Zamiast tego było życie, takie zwyczajne, od rana do wieczora, od narodzin do śmierci. Dlatego mój ścisły kanon to pierwszych pięć filmów, czyli małe miasteczko w czasach PRL: „W domu”, „Niech cię odleci mara”, „Kobieta z prowincji”, „Kramarz”, „Nad rzeką, któ-rej nie ma”. Zauważyłem, że nawet krytycy już nie pamiętają, że te filmy

stanowią pewną całość. Jestem z niej dumny. Nikt nie zrobił takiej panoramy „małomiasteczkowej”. Może jedynie w kine-matografii włoskiej... Teraz te tytuły istnieją jako odrębne byty: „W domu” jest wybitnym evergre-enem – od ponad 40 lat jest ciągle pokazywany przez telewizję. O „Kobiecie z prowincji” pamiętają krytycy. „Nad rzeką, której nie ma” to film kultowy byłej młodzieży. „Kramarz” to Roman Kłosowski. Dziwi mnie, że kiedy mówi się o polskich filmach historycznych, zapomina się o filmie „Niech cię od-leci mara”. Trudno o bardziej wiarygodne świadectwo czasu wielkiej wymiany pieniędzy i końca dotychczasowych elit małego miasteczka.

### **Kim są pańscy bohaterowie? Gdzieś powiedział pan, że to ludzie, którzy po cichu żyją i po cichu odchodzą, jak liście z drzew.**

- Cisi, porządni ludzie – takich bohaterów chciałem mieć. To oczywiście miało jakieś głębsze pod-stawy, ale też aktorzy z pistoletami w ręce nudzili mnie i budzili zniecierpliwienie, gdyż strasznie długo zwlekają z pociągnięciem za cyngiel. Wbrew temu, co się wydaje, na temat porządnego czo-wieka da się wiele powiedzieć. To nie jest ktoś zwyczajny. To ktoś, kto zapanował nad sytuacją. Wprawdzie cichy i porządny nie będzie miał salwy honorowej na pogrzebie, a ksiądz wyprawi mu cichą mszę przy bocznym ołtarzu, ale porządny przynajmniej nie zostawi po sobie bałaganu. Rów-nież w kadrze filmowym. Mój ojciec, odchodząc, zostawił idealny porządek w swojej szufladzie, tylko to, co będzie potrzebne po jego śmierci. Przypominam sobie anegdotkę o profesorze Władysławie Tatarkiewiczu, który zapytany, co uważa za najważniejsze w swojej filozofii, odpowiedział: „Porządek na stole”. Niniejszym wygłosiłem pochwałę człowieka uporządkowanego.

### **Uważa pan, że też po cichu robi filmy. Na ile są one autobiograficzne?**

- Z każdym z tych filmów – można powiedzieć – już wcześniej byłem obznajmiony. Nie tylko miałem w oczach obrazy, ale dokładnie czułem atmosferę tego świata. Przecież w takim świecie się urodziłem i przeżyłem najwrażliwsze lata życia. Dokumentacje, które robiliśmy z Ryskiem Lenczew-skim, daleko wykraczały poza proste szukanie obiektów zdjęciowych. Nastrój wnętrza, zmieniające się światło, zdjęcia na ścianach, sprzęty domowe – wszystko mówiło. Jeśli ekranizowałem książkę Stanisława Czycza dziejącą się w Krzeszowicach („Nad rzeką, której nie ma”), nie musiałem szukać identyczności, bo na tyle głęboko byłem w temacie, że mogłem wybrać coś jeszcze lepszego, spo-tkanego przypadkowo. Czycz miał do mnie pełne zaufanie, bardzo ładnie to nazwał: „Małomia-steczkowe braterstwo”. U Czycza, u Siemińskiego znajdowałem znany sobie świat, więc czasem rezygnowałem z prawdy miejsca, żeby uniknąć kopiowania. Tak było z „Kobietą z prowincji”. Opisa-ne w książce Waldemara Siemińskiego zdarzenia działały się w Kazimierzu Dolnym. Mogłem tam krę-cić, ale chciałem czegoś innego, żeby powalczyć o nową przestrzeń i wejść w nieco inny świat. Czę-sto, jakby obok aktualnie realizowanego filmu, „po cichu”, w myślach robię jeszcze drugi film. To jest taki rodzaj podkładki, której istnienie lepiej zachować w tajemnicy, żeby nie robić zamieszania. Czasami jest to coś mocno zarysowanego, czasem tylko widmo, które rozwiewa się i się o nim za-pomina. Realizując film „Księstwo”, miałem mocną wizję, która istniała równoległe i istnieje do dzi-siaj. Jest nią „Hamlet”. Nie mówię: Szekspira, bo już tyle „Hamletów” oglądałem, więc najlepiej po-wiedzieć tylko: „Hamlet”. „Księstwo” to mój „Hamlet”. Jak ktoś zapyta, czy zrobiłem „Hamleta”, odpowiem, że tak, i dam mu „Księstwo” do obejrzenia. Czyli znowu było „po cichu”? No nie, zostało głośno powiedziane. Założę się, że znajdą się widzący tak jak ja, a z czasem będzie ich coraz więcej.

### **Scenariusze są pańskimi adaptacjami mało znanych tekstów, czasem w ogóle nieznanymi autorów (wyjątkami są Maria Kuncewiczowa czy Michał Choromański). Dlaczego pan po nie sięgnął?**

- Nawet jeśli wyjątkowo sięgnąłem po znane nazwisko, to utwór w dorobku pisarza był marginalny

albo zupełnie nieznanymi. Ale przecież nie dlatego widziałem w tych książkach dobry materiał na film. Może litowałem się nad biedną książeczką podeptaną na podłodze w antykwariacie, będącą bez szans, że się ktoś nią zainteresuje? Może Freud by to wyjaśnił poprzez bajeczkę o Brzydkim Kacząt-ku? A poważnie, po prostu dokonywałem odkrycia. Poszerzałem pole literatury przydatnej dla filmu – inna sprawa, że nikt za mną nie podążał. Dla filmowca większą siłą przyciągania mają autorzy i ty-tuły głośne i gorące.

**Często konstruuje pan opowieść, patrząc niejako z perspektywy „długiego trwania” na mikroświat pańskich bohaterów. Czy tak jak piszą krytycy, próbuje pan uchwycić porządek wszechrzeczy? Dlatego przygląda się pan zwyczajności?**

- Szczególnie cenilem książki autobiograficzne pisane w późnej jesieni życia. Miałem przed sobą całe życie autora. Coś takiego jak plan domu. Studiując taką książkę, rysowałem niby planiki kolejnych okresów życia autora. A kiedy było tego dużo, zawsze przychodził mi bezwiednie do głowy ceremoniał „Urbi et orbi”. To jest fascynujące – całe już dokonane, zamknięte życie, a ja pochylałem się nad nim, jak nad jakąś wojskową mapą życiowych działań tego człowieka. Czasami próbowałem bardzo uprościć ten plan, zamknąć go w jednej figurze. Nigdy nie zrobiłem tego od początku do końca. Dziwne, ale trochę się tego bałem. Te moje konstatacje nad życiem widzianym z „lotu ptaka” i wykonanym przez kreślarza planem miały też to do siebie, że sprawom małym przypisywałem wielkie znaczenie, wpływające na ważne zwroty życia bohatera. Tak zwane byle głupstwo decydowało o kawałku życia. Były to różne kpinki i moje złości pod adresem czegoś takiego jak los. Na koniec wszystko darłem na drobne kawałki, żeby z tym skończyć, żeby przez dziwny przypadek, jeszcze raz się nie poskładały w to, co już było.

Dalszy ciąg wywiadu można przeczytać w „Kalejdoskopie” 7-8/2018, który jest do kupienia w informacji Łódzkiego Domu Kultury (wejście od ul. Traugutta), w salonach sieci Ruch, Saloników Prasowych, Kolportera, Garmond-Press oraz salonach Empik, dostępny także w prenumeracie:

<https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-województwa-lodzkiego>